

„Nauka i Szkolnictwo Wyższe”, nr 1–2/35–36/2010

Uniwersytet w procesie przemian

Rozmowa z prof. dr. hab. Jerzym Wilkinem¹

– W związku z pracami nad projektem ustawy o zmianie ustawy *Prawo o szkolnictwie wyższym*, a także *Ustawy o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki* i niektórych innych ustaw interesuje nas kierunek zmian zasad finansowania szkół wyższych w naszym kraju. Ze względu jednak na fakt, iż szeroko rozumiana problematyka finansów publicznych stanowi szczególny przedmiot zainteresowań Pana Profesora, prosilibyśmy, by zechciał Pan najpierw powiedzieć coś więcej na temat prowadzonych przez Pana badań i prac w tej dziedzinie. Zwłaszcza w odniesieniu do sfery szkolnictwa wyższego, w kontekście wspomnianego projektu ustawy...

– Zacznę od moich zainteresowań tą problematyką, z punktu widzenia pracownika naukowego i nauczyciela akademickiego. Jako ekonomista zajmuję się m.in. ekonomią sektora publicznego i jakością rządzenia. Te sprawy zresztą się łączą, a losy uczelni i generalnie sytuacja szkolnictwa wyższego oraz kwestie jego finansowania są mi szczególnie bliskie, ponieważ swój los, życie i karierę związałem z Uniwersytetem Warszawskim, na którym pracuję już dość długo. Zainteresowania te wyrażają się m.in. w fakcie, iż kieruję Komisją Senatu Uniwersytetu Warszawskiego do spraw budżetu i finansów. Wydaje mi się, że są to pola zainteresowań tworzące pewną synergię, co jest dla mnie oczywiste. W okresie ubiegłego dwudziestolecia Polska osiągnęła duży sukces w przebudowie gospodarki i systemu politycznego, czego wyrazem było przyjęcie naszego kraju do Unii Europejskiej, a także znaczna odporność naszej gospodarki na kryzys, jaki przeżywała niedawno Europa i większość krajów na świecie. Mało udaną i słabo zaawansowaną częścią polskiej transformacji jest natomiast reforma sfery publicznej, czego rezultatem są m.in. problemy związane ze stanem finansów publicznych, a także duże zaniedbania w rozwoju infrastruktury zarówno technicznej, jak i społecznej, w tym rażące niedofinansowanie rozwoju nauki w Polsce. Sądzę też, że nasz kraj jest w wielu dziedzinach źle zarządzany. Mając to na uwadze, ustanowiliśmy na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego Ośrodek Analiz Ekonomicznych Sektora Publicznego. Pierwszymi działaniami tego

¹ Prof. dr hab. Jerzy Wilkin jest członkiem korespondentem PAN, kierownikiem Katedry Ekonomii Politycznej na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, kierownikiem Zakładu Integracji Europejskiej Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, członkiem Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN; w latach 1999–2006 był przewodniczącym Komitetu Ekonomiki Rolnictwa PAN.

ośrodka było przygotowanie projektu badawczego dotyczącego wdrażania zasad dobrego rządzenia (*good governance*) w Polsce oraz zrealizowanie małego projektu dotyczącego uwarunkowań ekonomiczno-finansowych reformy polskiego szkolnictwa wyższego. Wyżej wspomniany projekt badawczy został zaakceptowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i rozpoczęliśmy jego realizację. Drugi projekt zakończyliśmy kilka miesięcy temu, a raport przygotowany przez nasz zespół ukaże się w grudniu 2010 roku, dzięki wsparciu Fundacji Rektorów Polskich.

– Czym zajmuje się zespół kierowany przez Pana Profesora?

– Powiem kilka słów o zespole, który realizował projekt dotyczący kwestii finansowych i prawnych reformy szkolnictwa wyższego, ponieważ jego skład i sposób działania były bardzo nietypowe. Składał się on z pięciu doświadczonych adiunktów oraz grupy studentów skupionych w trzech kołach naukowych działających na Uniwersytecie Warszawskim. Zespół nie dysponował żadnymi środkami finansowymi (poza drobnymi kwotami potrzebnymi na druk ankiet), a badania były prowadzone niejako „w czynie społecznym”. Studenci wykazali się dużą wiedzą, a przede wszystkim wielkim zaangażowaniem. Przeprowadzili m.in. badania ankietowe na próbie ponad 600 studentów, których rezultaty są bardzo interesujące. Było to dla mnie i na pewno dla nich ciekawe doświadczenie badawcze.

– Powróćmy do kwestii finansowania przedstawionych w projekcie zmian wyżej wspomnianych ustaw. Interesują nas sprawy czesnego i proponowanej parametryzacji. Zasady finansowania powinny stymulować działanie uniwersytetu, ale czy to w ogóle będzie możliwe? Wprawdzie budżet szkół wyższych ma wzrosnąć o 2,5%, ale zasada komercjalizacji badań budzi wątpliwości. Rozumiemy, że konieczne będzie szersze otwarcie się uniwersytetu na współpracę z otoczeniem. Czy wszystkie te zmiany rzeczywiście będą sprzyjać rozwojowi uniwersytetu i nauki?

– Żyjemy w czasach, które skłaniają do przemyśleń o fundamentalnych sprawach szkolnictwa wyższego. Tu nie chodzi tylko o te prace i dyskusje, które miały miejsce wokół koncepcji strategii rozwoju szkolnictwa wyższego. Byłem w nie zresztą zaangażowany, co traktuję jako bardzo ciekawe doświadczenie. Z punktu widzenia uniwersytetu i generalnie środowiska akademickiego w Polsce, odnoszę wrażenie, że już czas na dość gruntowne reformy i przewartościowanie pewnych rzeczy, a nawet swoistą „burzę” w środowisku.

Doceniam to, że środowisko akademickie jest z natury konserwatywne, że zmiany, które w nim zachodzą, przebiegają wolno, i jest to pewna zaleta tego środowiska, bo wszelki koniunkturalizm, szybkie, ciągłe zmiany nie są wcale dobre, zwłaszcza w sprawach nauki i kształcenia. Uniwersytet stoi na straży pewnego ładu, który ma charakter w miarę trwały, ale oczywiście musi się dostosowywać do zmieniającej się rzeczywistości. Wyzwania, jakie stoją przed uniwersytetem i całym szkolnictwem wyższym w Polsce są dla mnie oczywiste i trzeba na nie reagować. Jednym z tych wyzwań jest znalezienie sposobów na zwiększenie środków finansowych na badania naukowe i kształcenie studentów. Jedna i druga dziedzina jest w Polsce mocno niedofinansowana. Mam świadomość, że problemy, o których mówimy, są bardzo kontrowersyjne. Kiedy chodzę korytarzami budynków

uniwersyteckich, to widzę np. plakaty, na których organizacje studenckie i pozastudenckie wyrażają swój sprzeciw wobec komercjalizacji uczelni. Widzę protest przeciw wprowadzaniu czesnego, przeciw ograniczaniu funduszy publicznych na szkoły wyższe, i rozumiem, że takie hasła jak np. „komercjalizacja” są z pewnych względów niepopularne. To jest tak, jakbyśmy powiedzieli: „komercjalizujemy świątynię”. Dla niektórych osób uniwersytet jest bowiem taką świątynią. Tyle że utrzymanie tej świątyni kosztuje w skali roku prawie miliard złotych. Uniwersytet Warszawski dysponuje budżetem w wysokości prawie 900 mln zł rocznie, a i tak jest on niewystarczający, zwłaszcza gdy porównamy go z budżetami uczelni zachodnich, kilkanaście razy wyższymi. Pieniądze są ważne, także z punktu widzenia jakości uczelni. Pod hasłem „komercjalizacja” kryją się różne treści. Uczelnie muszą poszukiwać nowych źródeł dochodów, aby móc realizować swoje najważniejsze funkcje. Takim źródłem jest częściowa odpłatność za studia, pobierana od studentów, czy sprzedaż patentów oraz innych efektów badań naukowych. Komercjalizacja polega też na dostosowaniu się do warunków konkurencji, która w dziedzinie szkolnictwa wyższego jest coraz silniejsza, zarówno w skali kraju, jak i w skali międzynarodowej. Konkuruje się ceną, ale także jakością. Uniwersytet spełnia wiele funkcji i dostarcza społeczeństwu różnorodne dobra, z których część ma charakter dóbr publicznych. Z tego chociażby wynika konieczność dofinansowania uczelni ze środków publicznych. Nie wyobrażam sobie sytuacji pełnego skomercjalizowania Uniwersytetu Warszawskiego, chociaż widzę potrzebę jego „ekonomizacji”, a więc poprawy efektywności środków, którymi ta uczelnia dysponuje, oraz dywersyfikacji źródeł dochodów.

– Ale jednak system finansowania szkół wyższych funkcjonujący w naszym kraju wymaga zmian?

– To prawda, zasady finansowania trzeba zmienić, co jednak nie musi oznaczać komercjalizacji rozumianej w sensie potocznym, a więc że wszystko będzie na sprzedaż i wszystko na uczelni ma zależeć od rynku. Byłaby to katastrofa dla tradycyjnej misji uniwersytetu. Uniwersytet – uczelnia publiczna – będzie nadal przez wiele lat finansowany z funduszy publicznych. Dodam jeszcze, że należy to do obowiązków państwa, i tak jest na całym świecie. Czołowe uczelnie niemieckie i francuskie także są finansowane z budżetu. Inaczej jest w przypadku uczelni brytyjskich, których poziom „komercjalizacji” jest bardziej zaawansowany, ale i tak większość ich środków pochodzi ze źródeł publicznych. Dotyczy to zarówno badań, jak i kształcenia.

Komercjalizacja oznacza, że powinniśmy tworzyć produkty i usługi na rynek oraz uzyskiwać z tego przychody. Na Uniwersytecie Warszawskim zastanawiamy się teraz, co możemy zaoferować rynkowi poza kształceniem. Mamy bowiem świadomość, że nasza oferta musi zostać wzbogacona. Być może o dobre patenty, wyniki badań, usługi konsultacyjne w ważnych sprawach. Wiemy, że wydatki państwa w przeliczeniu na studenta są w Polsce najniższe wśród krajów OECD. Jeśli jednak chcemy być uczelnią lepszą, to trzeba zdobyć dodatkowe środki.

– Skąd?

– Widzę trzy takie źródła. Trzeba oczywiście zwiększać zasilanie ze źródeł prywatnych, ale ponieważ kształcenie jest dobrem publicznym, więc wymaga publicznego finansowania. Dobrze wykształcenie jest atrybutem związanym z pozycją na rynku. Ktoś wykształcony sprzedaje swoje usługi. Dlatego mówimy o stopie zwrotu z wyższego wykształcenia. Jeśli ktoś inwestuje pieniądze, to pytamy się, czy zostały one dobrze wykorzystane. W Polsce wskaźnik ten znajduje się na całkiem przyzwoitym poziomie, wyższym od średniej europejskiej. Wykształcenie wyższe wciąż u nas jest w cenie, opłaca się. Czesne jest pobierane na uczelniach prywatnych, ale także na uczelniach publicznych. W przychodach Uniwersytetu Warszawskiego stanowi to prawie 20% całego budżetu. Może to wyglądać paradoksalnie, ale w bogatym Harvardzie przychody z czesnego stanowią jedynie 18%. Powstaje pytanie, czy wskaźnik ten, dla Uniwersytetu Warszawskiego, dałoby się jeszcze poprawić? Wydaje się, że tak, ale jest to proces długotrwały i powinien być realizowany w połączeniu z wieloma innymi.

Z wielu względów nie jest realne, żeby środki publiczne pokryły koszty całej działalności uczelni, a chcemy kształcić dobrze, więc oferujemy studia, które są atrakcyjne, ale też bywają dość drogie. Tak jak na dobrych uczelniach zachodnich fakt, że czesne jest wysokie, wcale nie oznacza, że student musi pokryć ten wydatek w całości. Może pokryć ze stypendium, z kredytu studenckiego, może uzyskać wsparcie z jakiejś fundacji.

Czesne traktuje się często jako rodzaj bariery dla osób niezamożnych. A przecież tak nie musi być. Trzeba o tym dyskutować. Kredyt studencki, z którego bardzo często finansowane jest czesne, powinien być spłacany po studiach przez wiele lat i nie może utrudniać dostępu do wyższego wykształcenia. W sferze publicznych dyskusji o szkolnictwie wyższym funkcjonuje wiele słów-straszków. Czesne jest jednym z nich.

Na Uniwersytecie Warszawskim przeprowadziliśmy badania na temat poglądów studentów w kwestii płatności za studia. Badania te objęły środowisko studenckie w całej Polsce. Wynika z nich, że około 70% studentów jest przeciw czesnemu, ale widać zróżnicowanie opinii w zależności od poszczególnych ośrodków. Obserwujemy ewolucję. Mimo wszystko wzrasta akceptacja dla współpłatności. Jeśli porównamy opinie studentów z pierwszego i piątego roku studiów, ci drudzy bardziej akceptują zasadę odpłatności.

Pochodzę z rodziny o relatywnie niskich dochodach i podczas studiów musiałem sam sobie radzić. Raz w tygodniu podejmowałem jakąś pracę zarobkową. Pozwalało mi to na studiowanie, chodzenie na imprezy, uczestniczenie w życiu studenckim. Dzisiaj wygląda to dużo gorzej, skoro studenci są zmuszeni do pracy przez prawie cały tydzień. Z drugiej jednak strony uważam, że gdyby w moich czasach studenckich istniała możliwość otrzymania kredytu, czułbym się lepiej, ułatwiłoby mi to funkcjonowanie. Sądzę więc, że obecnie lepszym rozwiązaniem dla studenta jest zaciągnięcie kredytu z możliwością spłaty w późniejszym terminie, po osiągnięciu sukcesu zawodowego, niż równoległa ze studioowaniem praca zarobkowa w prawie pełnym wymiarze czasu, tym bardziej że w pewnych okolicznościach istnieje nawet możliwość umorzenia kredytu. W kwestii współfinansowania studiów przez studenta potrzebny jest jednak cały pakiet działań.

– **Panie Profesorze, ale może ta nieufność młodzieży wobec zasady współfinansowania studiów, niechęć do płacenia czesnego, bierze się po części także z czegoś innego niż tylko z niezrozumienia istoty rzeczy? Może problem jest głębszy? Niejednokrotnie bywało przecież, również w innych sferach życia społecznego, że wprowa-**

działo się rozwiązywania prawne jakiejs kwestii, zakładające udział środków publicznych w jej realizacji, po czym w praktyce na te rozwiązania przeznaczono mniej środków niż zapisano w ustawach. Może więc mamy tutaj do czynienia także z nieufnością – generalnie – wobec polityków i instytucji publicznych, z brakiem ich wiarygodności w społeczeństwie?

– Zgadza się, bo problem ten stanowi istotną część zasad dobrego rządzenia, które musi być w miarę przewidywalne, demokratyczne i efektywne. W naszym projekcie reform (czyli w tzw. projekcie środowiskowym) przewidujemy, że mimo iż wprowadzone zostanie powszechne czesne, to zakładamy, że jest obowiązkiem państwa zasilanie szkolnictwa wyższego pewnymi środkami. Za minimum przyzwoitości uważamy jeden procent PKB. W porównaniu z krajami zachodnimi to wciąż nie jest dużo, ale w naszej sytuacji, kiedy wskaźnik ten wynosi 0,78%, to i tak byłoby już lepiej. Jednocześnie przewidujemy, że drugi procent będzie pochodził ze źródeł prywatnych: z czesnego zasilanego kredytem (bo kredyt jest źródłem prywatnym) oraz z innych instytucji prywatnych.

Państwo powinno być przewidywalne w zakresie finansowania szkolnictwa wyższego. Jeden procent PKB dofinansowania publicznego i jeden procent PKB ze źródeł prywatnych to minimum stwarzające szansę na wyraźną poprawę jakości naszego szkolnictwa wyższego. Szkoły wyższe od razu by to odczuły. Kiedy mówimy o sytuacji finansowej Uniwersytetu Warszawskiego, jako uniwersytetu badawczego, to dla mnie przestrzenią poprawy sytuacji finansowej jest wzrost nakładów na badania. Kondycja uczelni zależy bowiem nie tylko od dydaktyki, ale także od poziomu finansowania badań. Na przykład Uniwersytet Cambridge w Wielkiej Brytanii 35% swojego budżetu przeznacza na badania, z czego większość pochodzi ze źródeł publicznych. Pozwala to na sprawne funkcjonowanie i zapewnia przyzwoite wynagrodzenia. Na Uniwersytecie Warszawskim wskaźnik ten wynosi około 20%, co też jeszcze nie jest wynikiem najgorszym, tym bardziej że nasza uczelnia w przeliczeniu na jednego pracownika naukowego i tak ma najwyższe dofinansowanie badań spośród wszystkich polskich uniwersytetów.

Nie zmienia to jednak faktu, iż tak rażąco niskie finansowanie budżetowe (ok. 0,35% PKB) nie znajduje żadnego uzasadnienia makroekonomicznego. Na przykład Chiny przeznaczają na badania 1,32% swojego PKB. Zważywszy na skalę produktu narodowego tego państwa, możemy sobie tylko wyobrazić, jak potężne są to środki. Ale funkcjonujemy w takich warunkach, jakie mamy, więc trzeba sobie radzić. Otóż wydaje mi się, że nawet w naszej tak mizernej sytuacji uczelnie, przynajmniej niektóre, mogą sobie z tego „tortu” wykroić większą porcję. Po prostu należy dać szansę najlepszym...

– Czy to jednak nie jest równoznaczne z uprzywilejowaniem w dostępie do tego „tortu” ośrodków największych, a więc i najbogatszych?

– Niekoniecznie. Nie stosujemy reguł demokratycznych do sfery kształcenia i badań, które przynależą do instytucjonalnego systemu nierówności, mierzonego standardami, efektywnością, jakością itd. Po prostu dobrzy powinni być promowani mocniej niż inni. Pieniądze trzeba dawać najlepszym, a nie zasilać „ogonki”. Ja wiem, że to jest niepopularne, ale zapewniam, że dobry ośrodek nie musi koniecznie mieścić się w Warszawie! Przykład: Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, który w opublikowanej niedawno katego-

ryzacji jednostek naukowych ma wyżej ocenione wydziały niż Uniwersytet Medyczny w Warszawie. Oznacza to, że nawet w pozawarszawskich jednostkach można uzyskać całkiem niezłe wyniki.

– Powracamy więc do kwestii parametryzacji?

– Jeśli chodzi o parametryzację, to uważam, że jakaś forma rankingu, powiązanego z zasilaniem finansowym, jest potrzebna. Podzielam hasło „dawać najlepszym”. Kryteria ocen poszczególnych jednostek są „twarde” – publikacje w międzynarodowych czasopismach, kształcenie kadr naukowych, pozycja w środowisku naukowym. Nie wiem jednak, dlaczego jako elementu uzupełniającego przy kategoryzacji jednostek naukowych nie bierze się pod uwagę np. opinii Komitetów Naukowych Polskiej Akademii Nauk, w których skład wchodzi najwybitniejsi przedstawiciele nauki z całej Polski i z różnych rodzajów placówek naukowych. Na Zachodzie najważniejszym kryterium jest *peer review* – ewaluacja przez innych specjalistów z danej dziedziny. U nas istnieje jakaś grupa, powołana przez ministra, która to robi, ale parametryzacja dokonana przez członków tej grupy powinna być uzupełniona jeszcze o inne kryteria, o inny mechanizm formułowania ocen. Wówczas taka legitymizacja byłaby pewniejsza. Zauważyłem, że uczelnie są bardzo krytyczne w stosunku do tej parametryzacji, że niektóre z nich prowadzą badania podstawowe na bardzo przyzwoitym poziomie, chociaż tego nie eksponują. W rankingu jest parę zaskakujących elementów.

– Parametryzacja w działalności naukowej i dydaktycznej jest dobra, żeby pilnować średniego wskaźnika efektywności, ale w przypadku ostrej selekcji parametry mogą szkodzić.

– Zgadzam się. Parametryzacja czy rankingi mogą być pożyteczne i mobilizujące. Weźmy przykład Uniwersytetu Warszawskiego, uczelni z wieloma znakomitymi wydziałami, zatrudniającej pracowników na poziomie światowym, ale w rankingach międzynarodowych zajmującej taką pozycję, jaką zajmuje. Uważam, że najwyższy czas, aby najlepsze polskie wydziały i uczelnie aspirowały do konfrontacji z najlepszymi na świecie. Jesteśmy na globalnym rynku. Dlaczego nie mamy mierzyć najwyżej i wtedy budować pozycję nie w krajowym systemie parametryzacji, ale w skali światowej? Potrzebna jest strategia *catching up* z najlepszymi. Trzeba awansować młodzież naukową, stawiać na nią. Dlaczego adiunkt nie mógłby być kierownikiem wielkich międzynarodowych badań? Przecież nie musi nim być profesor. Z tym powinny zostać powiązane awanse i zarobki. Trzeba zdecydowanie zmienić te struktury i mechanizmy. To można robić już teraz, w ramach obecnie istniejących przepisów. Róbmy swoje, stwórzmy z naszych uczelni uczelnie o światowym formacie. Trzeba mierzyć wyżej.

– Wracając jeszcze do tematu czesnego – to chyba dobrze, kiedy młody człowiek wchodzi w życie na własny koszt? Niech ludzie płacą za siebie, a nie finansują studiów innym...

– Mówimy o efektywności i solidarności. W niektórych krajach mimo wszystko udało się połączyć te dwa czynniki. Widać większe zaangażowanie prywatnych środków w finansowanie szkolnictwa wyższego. Odwrotu od tego nie będzie. Dlaczego uniwersytety australijskie tak awansowały w ciągu ostatnich dwudziestu lat? Ponieważ potrafiły umiejętnie połączyć finansowanie prywatne z publicznym. Trzeba otworzyć się na świat. Każdy zdolny młody człowiek, nawet jak jest biedny, musi mieć szansę studiowania. I tak się dzieje nawet w najdroższych uniwersytetach. Na czołowych dziesięciu uczelniach amerykańskich opłata ponoszona przez studenta (czesne plus utrzymanie) wynosi około 50 tys. dol. rocznie. Na Harvardzie na granty i stypendia przeznacza się, w przeliczeniu, około 1,5 mld zł, a więc prawie tyle, ile wydaje się z polskiego budżetu dla zbiorowości blisko 2 mln studentów. Większości społeczeństwa amerykańskiego nie stać na takie wydatki, jakich wymaga studiowanie na Harvardzie, a jednak młodzi ludzie z różnych rodzin, także ubogich, tam trafiają. Trzeba szukać takich rozwiązań oraz łączyć efektywność ze sprawiedliwością i solidarnością.

W „środowiskowej” koncepcji reform zaproponowaliśmy chesne w wysokości jednej czwartej kosztu kształcenia, a trzy czwarte nadal byłoby pokrywane ze środków publicznych. To nie jest pełna komercjalizacja, to jest współpłatność. A do tego istnieją kredyty studenckie i stypendia. Najlepiej przemawia konkretny przykład – jest młody człowiek, powiedzmy z Siemiatycz, pochodzący z rodziny o dochodzie poniżej średniej. Chce studiować na dobrej uczelni, np. na Uniwersytecie Warszawskim. Powiedzmy, że chesne wynosi 5 tys. zł rocznie, dla niego zbyt dużo. Ale ma możliwość otrzymania stypendium pozwalającego na zamieszkanie w akademiku i wyżywienie. Proponuje mu się kredyt, który sfinansuje chesne i pozostałe wydatki związane ze studiowaniem. Kończy studia magisterskie, znajduje pracę. Gdy jego dochody rosną, to zaczyna spłacać swój kredyt. Rata nie może przekroczyć, powiedzmy, 5% bieżącego dochodu. W dodatku powinno to być wliczone do systemu podatkowego, żeby uprościć spłatę kredytu, tak jak robi się to np. w Wielkiej Brytanii. Trzeba nad tym pracować, a nie mówić „niech państwo się martwi i finansuje”.

– Co można powiedzieć złego lub dobrego o nowych ustawach?

– Przystudiowałem dokładnie pakiet sześciu ustaw reformujących system nauki w Polsce, a w przypadku nowej ustawy o szkolnictwie wyższym jestem w trakcie jej lektury. Otóż uważam, że ustawy dotyczące nauki racjonalizują system finansowania badań naukowych. Nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym nie wprowadza natomiast zmian, jakich oczekuje większość środowiska akademickiego w Polsce. Nie zmienia zasadniczo sposobu finansowania szkół wyższych i premiowania uczelni najlepszych (tzw. KNOW-y nie rozwiązują tej sprawy). *De facto* wzmocniona zostaje rola Ministerstwa, co stoi w sprzeczności z zasadą autonomii uczelni. Nie widzę też w projekcie realnych rozwiązań sprzyjających przyspieszeniu kariery naukowej i wzmocnieniu pozycji młodych pracowników naukowych (tych po doktoracie) na uczelni. Część nowej ustawy dotycząca spraw stopni i tytułów naukowych jest chyba niedostatecznie przemyślana i zawiera wiele pułapek, grożących pogorszeniem jakości awansów naukowych.

– Wydaje się, że poprzednie ustawy dawały więcej uprawnień środowisku?

– W ramach dotychczas obowiązujących ustaw można było sporo poprawić w kwestii funkcjonowania uczelni czy przyspieszenia karier naukowych. Pewną patologią jest wydłużanie i formalizowanie kariery akademickiej. Posłużę się przykładem habilitacji. Zawsze powtarzam moim młodszym współpracownikom, że od chwili postawienia kropki na końcu rozprawy habilitacyjnej, powinni doliczyć sobie jeszcze około półtora roku do zakończenia całej tej procedury (sprawy wydawnicze, formalności na wydziale, wyznaczanie recenzentów przez Centralną Komisję itd.). Tę procedurę można przyspieszyć i nowa ustawa w pewnym stopniu zmierza w tym kierunku. Ale to wymaga oceny nie tyle biurokratycznej, ile merytorycznej, środowiskowej. Najlepszy przykład, że już dotychczas można było w wielu przypadkach rozpoczynać procedury habilitacyjne bez pisania specjalnej rozprawy. Podstawą mogły tu być np. artykuły publikowane w wysoko notowanych czasopismach, świadczące o wystarczającej dojrzałości, samodzielności i dorobku danego kandydata. Dominował jednak model monografii, stanowiącej rozprawę habilitacyjną. Moje doświadczenie z pracy w Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów pozwala mi stwierdzić, że duża część rozpraw habilitacyjnych to prace słabe. I nie zawsze winię za to samych zainteresowanych. Na wydziałach nie dba się o pracę nad tymi ludźmi. Fakt, że ktoś ukończył doktorat nie oznacza, że już może sobie radzić zupełnie sam w sprawach rozwoju naukowego. On potrzebuje udziału w życiu środowiska, dyskusji, seminariów, czegoś, co można by nazwać naukowym młynem, który przemiele, odsieje plewy, a najlepszych oszlifuje, ale w sensie pozytywnym. Diamenty trzeba szlifować, a tego u nas brakuje.

– **Dziękujemy za rozmowę.**

Rozmowę przeprowadzili Ireneusz **Białecki** i Adam **Gałkowski**